Ner 23. Ćwierćrocze od 1go Kwietnia do 1go Lipca. 1863.

Prenumerata wynosi:

w księgarniach Krakowskich

Bez mód:

Rocznie	. 6 zł. — c. w. a.	
Półrocznie	. 3 » — » » »	
Kwartalnie	. 1 » 50 » » »	
Miesięcznie	.— » 50 » » »	

Z Modami paryskiemi.

Rocznie	. . 10 zł. 20 c. w. a.	
Półrocznie	. 5 » 10 » » »	
Kwartalnie	. 2 » 55 » » »	
Miesięcznie	— » 85 » » »	

ROK III.

NIEWIASTA.

zamiejscowa wraz z opłatą pocztową

Bez mód:

Rocznie	. . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie	. 3 » 60 » « »
Kwartalnie	. 1 » 80 » » »

Z modami paryskiemi:

Rocznie	. . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie	. 5 » 70 » » »
Kwartalnie	. 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmują wszystkie księgarnie.

WYCHOWANIE MORALNE.

(List ks. Wojciecha z Medyki).

(Ciąg dalszy.)

Bóg więc puścił duszę naszą samopas, opatrzywszy ją na drogę darami myśli wolnej i serca pragnieniem: nie przykuł jej żywota do żadnego musu, wybił tak na skrzydle myśli, jak i serca, pieczęć wolnego lotu i pozwolił rozpostrzeć te dwa skrzydła, jak wielki i niezmierzony ten świat cały;— ale jako ojciec dobry i troskliwy o swoje dziecię, tak uszczęśliwione i wywyższone, dał duszy naszej potęgę, podobną do rozpiętej żagli na okręcie, pływającym między ziemią a niebem: dał jej wolą, aby sobie potrafiła to raz rozszerzyć, to znowu ściągnąć swoje skrzydełka, to się wznieść pod obłoki, to znowu się zniżyć ku ziemi, to bujać pędem błyskawicy, to odpocząć spokojnie. Wola więc jest zdolnością pokierowania sobą i zarządzenia myślą i sercem. To też każdy czuje w sobie ten dar Boży, który daje polot myślom i sercu, czuje w sobie jakiegoś niewidomego sternika, co prowadzi jego myśli aż na krawędzie wszechświata, a pragnienie serca wiedzie w jakieś Eldorado, które nie ma tyle szczęścia, aby żądanie serca zapełnić, zamknąć i uspokoić przesytem ostatecznym. Wola więc: to zdolność, to siła tajemna, która prowadzi poloty myśli i serca to w prawo, to w lewo, to w górę, to na dół, to szybko, to pomału, to prosto, to w zygzaki arabskie — to pani domu, która gromadzi i składa na kupę te zasoby, jakie myśl i serce zarabiają, albo je trwoni i rozprasza—raz przykuwa myśl i serce do nieba i tam je podtrzymuje, to znowu topi myśl i serce w kałach i mętach tej ziemi, to znowu wysyła myśl i serce w jakieś mgliste okolice i tam je nakarmia marzeniami, pobożnemi życzeniami i t. d.; wola, to prawica Jowisza, która trzyma w palcach swych strzały myśli i płomienie serca i rzuca je na wszystkie strony świata. Dajcie małemu dziecku do ręki nóż ostry i obosieczny, a ono, mogące władać nim na wszystkie strony, może się pokaleczyć, poranić, może siebie i drugich zabić. Otóż wola wolna w dziecku każdem jest podobną do przytoczonego obrazka. Jak trzeba dziecko pouczyć, aby wiedziało, jak sobie ma z nożem każdym postąpić, tak trzeba wolą dziecka pokierować, aby swoją własną myślą i sercem niepoplamiło i niepokaleczyło siebie i drugich; trzeba przyzwyczajać dziecko, aby umiało podstrzygać bujne skrzydełka myśli i serca, aby myślą i sercem umiało sobie później stworzyć świat, jaki przystoi człowiekowi, jako takiemu, aby się umiało później postawić na takiem stanowisku, coby go uszczęśliwiało i zaspakajało, o ile czas i okoliczności pozwolą.

Mówiąc o urabianiu i kształceniu woli, wypada napomknąć, że to kształcenie woli jest potrzebnem tak przy wychowaniu intellektualnem, jako też i moralnem—boć każdemu to wiadomo, że tak myślami jak sercem kieruje wola; a przy wychowaniu serca uważamy wolą za potrzebniejszą dla tego jedynie, że bierzemy serce za główniejszego i potężniejszego czynnika w moralności, niż głowę. I tak jest w rzeczy samej. Kto posiadł czyje serce, ten ma życie całe jego w ręku swym; tam cała dusza nasza leci, gdzie leży skarb serca naszego— prędzej czynimy i wykonamy to, co sprzyja naszemu sercu, niż naszej głowie — szczęście nasze większe i słodsze spoczywa w sercu, nie w głowie! za sercem leci myśl nasza zawsze, ale za myślą nie raz i nie dwa ani się ruszy serce nasze z miejsca; co kochamy, o tem myślimy, a co myślimy, to nie zawsze kochamy. A ponieważ bierzemy serce za główniejszego w moralności czynnika od głowy, dla tego też na moralne wychowanie t. j. kształcenie serca, kładziemy cały nacisk i zalecamy matkom, aby one same zajmowały się tą pracą świętą, gdyż one mają największą łatwość pozyskania miłości dzieci, a więc posiadają w ręku potęgę wychowywania serca u dzieci. Grzechem jest zaniedbywać kształcenie głowy u dzieci; ale dwakroć większym grzechem niedbać o serce dziateczek. Matka, niedbająca o to, jest pogardy przedmiotem i zasługu-

je na to w obec Boga samego, który ją za matkę wybrał.

Przypuszczając kształcenie woli u dzieci, nie twierdzimy bynajmniej, aby dziecko robiło wszystko, co pomyśli i co zapragnie — radzimy nie dać mu woli nie dla tego, aby mu odjąć to, co ma od Boga; ale dla tego, że jego wiedza skromna i uboga nie wie, co i jak obracać potrzeba do użytku, nie wie jak zacząć, jak skończyć, nie wie przeznaczenia rzeczy, które są potrzebne do życia i t. d. a więc nie umiejąc użyć rzeczy, mogłoby niewinnie sobie szkodzić i co złego zrobić. Dla braku wiedzy i znajomości świata, dla niedostatku wychowania intellektualnego, ustaje działanie woli dziecka, a wola matki jest wtedy wszechwładną. I jest to prawo Boże i tak być powinno, bo ślepy nigdy nie powinien samopas chodzić, bo upadnie na prostej drodze, a tem prędzej upadnie w przepaść, idąc przez kładkę bez poręcza. Nie można pochwalić tyranii ze strony matek w tym względzie. Boć i dziecka dusza ma swój światek gotowy, jaki przynosi na świat — skrzydełka duszy jego poruszają się od chwili narodzenia i są ciągle w ruchu; jego myśli mają niewinności świat w sobie, a jego serce jest w raju świętego niepokalania; w głębi więc duszy spoczywa światek, naszkicowany palcem Bożym, drgający, jak płyn tajemny magnesu—a skoro jest światek i w nim rozpostarte skrzydełka duszy, jest tam i wola zgięta i ściśniona, jakby sprężyna i pchająca oba skrzydełka do ruchu i polotu, podobna do młodego motyla, który porzuciwszy poczwarkę zimową, wyleciał na świat, a nie mogąc lecieć, siedzi przy ziemi i ciągle porusza oboma skrzydełkami, dając znak życia. A jak ten motyl zmocnieje, to on sobie poleci w świat kwiatów; tak podobnie dziecka wola, jak ono przeżyje rok, dwa, jak granice jego świata się rozszerzą w duszy jego, jak końce skrzydełek zgrubieją i w piórka myśli i pragnienia porosną, to i wola będzie czynniejszą i jedno ogniwo tej sprężyny tajemnej wyjdzie na jaw, oddzieli się od drugich i zacznie drgać w duszy i t. d., a więc tej czynności drobniutkiej w duszy dziecka nie należy się stłumiać, tego ogniwa woli drgającego nie należy się zgniatać, krzywić i t. d., boby to było grzechem w obec Boga; ale matka ma dopilnować i zostawić to wolnemu rozwojowi, ona ma prostować i drogę polotu wytyczać i do życia woli przyczyniać się. Rozumie się, że dopiero wtedy, kiedy dziecko zaczyna chodzić, kiedy ma 4, 5, 6 lat, ma matka być najczynniejszą co do woli dziecka, bo to zaranie i zarody przyszłego życia dziecka; wtedy należy objaśniać, tłumaczyć, opowiadać wszystko dziecku, które jest ciekawsze niż jego oczy, należy wolą młodziutką łagodzić, klamerką rozumu spinać, do ziemi przykuwać i t. d. a nie raz pozostawić swobodny ruch woli dziecka, jeżeli się ono obraca w swoim dziecinnym świecie, jeżeli wykonuje coś takiego, na co się jego dziecinna myśl lub serce zdobyć podoła i co jemu, jako niewinnemu i nieświadomemu przystoi, lub pożytek przynosi. A nie raz trza mu dopuścić i coś takiego zrobić, co mu sprawia nieszkodliwą boleść, co mu przyniesie dziecinne utrapienie lub szkodę i t. d. a to dla tego, aby się nauczyło, że woli ludzkiej jest granica pewna, że przekroczyć ją można, ale się nie powinno, że woli działanie nie polega na samym pochodzie naprzód i naprzód, ale nieraz i na cofaniu się, że wola może iść, ale się i wstrzymać, że może działać, ale i nie działać, może sobie pozwolić, ale i odmówić i t. d. Ta różnica działania woli jest potrzebną, bo to zaranie i przygotowanie do tych ofiar i poświęceń wielkich, do zrzeczenia się i zaprzania samego siebie, które później nieraz będzie musiało dziecko podjąć— a ta strona woli stanowi najpiękniejszą stronę moralności i zacności naszej. Rozumie się, że matka pouczy dziecko zawsze, czego ono nie przewiduje. Zacniejszem będzie to dziecko, które miało wolę swoją ale w opiece matki, niż to, które jęczało pod tyranią matki.

Doświadczenie też uczy, że dzieci, uwolnione z pod bicza matki, poszły najczęściej w poniewierkę: bo się utopiły morzem swej wolności naraz odzyskanej— a zaś dzieci, co używały odpowiedniej wolności i woli do swego rozumu i wieku, rozwinęły tę wolą przyzwoicie aż do grobowej deski. Otóż do czasu rozumu i poznania! dajcie matki waszym dziatkom wolą bez tyranii z waszej strony; niech pierwej dziecko wie od was, że mu tego nie wolno dla tej i tej przyczyny, niech ono to rozumie, dla czego mu nie pozwalacie, niech ono się obraca swobodnie w swoim świecie—a kiedy rozpuszcza skrzydełka w świat mu nieznany, wtedy je przytrzymujcie więcej sercem niż surowym nakazem, więcej pieszczotą niż tyranią, więcej zwróceniem jego myśli na coś nowego, niż odepchnięciem go od siebie. Wasza wola, matki! niech będzie raczej cukierkiem dla dziecka niż maczugą, niech będzie jasną latarnią, a nie groźbą samą, niech będzie słoneczkiem co świeci i grzeje, a nie prawem martwem, co tylko kij i karę pokazuje. Wasze zakazy niech noszą na sobie szatę rozumu a w środku miłość; niech będą konieczne ale nie samowolne, niech będą konsekwentne ale nie dla widzimisię waszego, niech się stosują do wieku dzieci, ale nie do waszego wieku. Między wami a dziećmi waszemi, to ogromna przestrzeń, złożona z lat, miesięcy, dni, godzin; o! ile tu przygód, łez, wesela, zmartwienia i t. d. o czem wasze dzieci ani myślą, ani sercem przeczują? Obraz waszego życia ma już ogromne ramy, ma cienie i plamy, ma róże i wieńce, kolce i sińce i t. d., a znowu obrazek życia dzieci, to malutki, z cienkiemi, kruchemi rameczkami, z samej mozaiki listków róż złożony, ani tam śladu łez lub krzywych linijek jakich i t. d.; a więc niepodobnem jest, kłaść ramki waszego żywota na obrazek żywota dzieci, bo-

by to było śmiesznem i niestósownem—tak też trudno żądać, aby dzieci to myślały, co wy myślicie, albo to samo chciały, co wy chcecie, aby ich wola równała się waszej — a więc rozkazy wasze niech się stosują do woli dzieci, ale nie do waszej, do ich położenia, ale nie do waszego, do ich wieku i ukształcenia i t. d. a takie rozkazy nie będą tamowały rozwoju ich woli, ale ją podsycą, nie będą trucizną i jednem dla niej, ale lekarstwem i balsamem, nie będą głazem gniotącym ją, ale minami wysadzającemi do góry wszystkie ogniwa woli, nie będą chorobą, zabójstwem, ale ożywieniem i pielęgnowaniem tego tętna Bożego, które umieścił Bóg w piersi naszej, jakby naumyślnie między sercem i głową, aby ono popychało myśl do polotu i rozdmuchiwało iskry serca do płomienia, aby utrzymywało głowę i serce w ciągłym ruchu od kolebki do grobu. Jak w zegarze porusza wahadło kółka i skazówki, tak takim wahadłem jest wola nasza. Wy matki bądźcie zegarmistrzami tutaj, poprawiajcie, ustawiajcie, nakręcajcie i doglądajcie, aby sobie zegar sam szedł, a będziecie miały wymiar czasu dobry, będziecie miały dni i noce podzielone w domu waszym.

(C. d. n.)

REJ z NAGŁOWIC.

(Ciąg dalszy.)

Iż zdało się ojcu, iż już był nauczony człowiek, a on przedsię jako dawno nic nie umiał, wziął go zasię do domu do onego Żórawna. Tamże z rucznicą a z wędką biegając około Niestru, aż do ośmnaście się lat ćwiczył, bąki strzelając. A gdy przyniósł pełne zanadra płocic, laskowych i wodnych orzechów, a kaczora, albo gołębia, albo wiewiórkę za pasem, to go z onej koszule z płoskonek roztrząsali, rozpasawszy, ano wszystkiego dobrego dosyć. To się tu w nim kochali mówiąc: Nic nasz Mikołaj, nic; ba, nie zależyć ten na starość gruszki w popiele. Ano prawdę mówili, bo było prawie ze wszystkiego nic. Potem go posłali do Topoli do stryja, aby go był wyprawił gdzie na służbę, i kupili mu kitajki na kabat na wyprawę, a on się jął brogiem wron łowić; a nim mu uszyto suknię, tem onę kitajkę wykrajał na proporczyki, a czyniąc drzewca z onemi proporczyki, przywięzował wronam do szyje a do ogona pod skrzydło, a żywo je puszczał. Tak, że z onemi proporczyki latając, wygnały inne wrony i kawki precz, że szkody w gumniech nie czyniły. A ten dla kabata rok przy urzędniku musiał mieszkać, aż ojciec przyjechawszy toż mu inny sprawił, a pan młody się ćwiczy około brogów z wronami.— I dał go potem już we dwudziestu lat do pana Andrzeja Tęczyńskiego, który na-tenczas był wojewodą sędomirskim, a był to człowiek zacny a mądry, acz był wzrostem mały, ale głowę wielką miał.

Tam potem będąc, począł go pan w listy polskie wprawować, bo łacińskiego języka barzo mało, albo nic nie umiał. Tamże potem z listów, z rozmów między pisarzami, z czytania, a snać więcej z natury, jął się już był przegryzować po trosze i łacińskiego pisma czytać, a czego nie rozumiał, tedy się pytał. Także potem z onego zwyczaju począł potrosze rozumieć co czytał, a Bóg a natura ostatka dodał, iż był przyszedł potem *ad judicium*, iż był wżdy rozumiał co czarno a co biało. Jedno iż mu to wiele przekazało, iż był zawżdy zabawion towarzystwem a muzyką tak z natury, że rzadkiej której nie umiał. Teksty dziwny a wiersze rozmaite, tak nic się nie rozmyślając, czynił. A był pan barzo ciekawy z młodu, że nigdy na jednem miejscu długo posiedzieć nie mógł, a myślistwo mu też wiele przekazało.

Potém zasię odstawszy od onego pana, parał się znowu między przyjacioły w Rusi, ale nigdy nie służył, a wszakosz był zawżdy pilen hetmana, który był na ten czas zacny człowiek Mikołaj Sieniawski, wojewoda bełzki, potem ruski; radby też był widział, co ludzie zacni czynią, ale mu się tego nigdy pozdarzyć nie mogło. Bo był tak fortunny albo też niefortunny, że powiadał, iż nigdy za żywota jego taka nań potrzeba nie przyszła, aby był powinien korda swego dobyć, chyba w rozwadzaniu; a to był pan barzo ciekawy, jedno iż był wielkiego zachowania a dworski. A nigdy żadnej przyczyny z siebie nikomu do złego nie dał, tak tego około siebie przestrzegał.

Potem się był ożenił, pojął był z imieniem niejaką Rosnownę z Sędziszowa, tu z krakowskiej ziemi, siostrzenicę arcybiskupa Bożego, który był powinowatym swym nie mało imienia nakupił, tak, że się też jemu dostało w chełmskiej ziemi Kobylskie imienie i Siennica. Tamże to w tem imieniu, więcej go potem dostawszy, przemieszkawał, tamże był założył miasteczko niedaleko Chełma, przezwiskiem Rejowiec. A wszakoż tu do krakowskiej ziemie barzo go zawżdy przyrodzenie ciągnęło dla dworu, bo bez tego być nie mógł. A żadnego sejmu, zjazdu, ani żadnej koronnej sprawy nie zamieszkał. I był nań stary król barzo łaskaw; także i królowa Bona, i dał mu był jurgielt i stacyą skarmierską i wieś, także i wszyscy panowie barzo go radzi widzieli i wiele mu dawali. Także potem od arcybiskupa Gamrata dzierżał Kurzelów i Biskupice. A urzędem żadnym ziemskim nigdy się nie chciał parać, powiadał, iż w zatrudnionym żywocie dwa co najszlachetniejsze klejnoty ociążone być muszą, wolność a sumienie, które powiadał, iż w zabawionym żywocie nigdy bezpieczne być nie może. A wszakoż kiedy rozumiał, iż tego była potrzeba, bywał posłem, i barzo rad służył rzeczypospolitej, bo już ze zwyczaju rozumiał i sprawy koronne i prawo pospolite.

Ale się nie chciał żadną rzeczą bawić, tylko wolny a spokojny żywot sobie obierał. A z Polski też jako żyw za żadną granicę nie wyjechał, chyba w księstwie litewskiem bywał i to bardzo mało.

MAZGAJ.

Jest muzyczka, będzie tanek,
Aże dusza rada —
A czegóż ten biały Janek
Sam na boku siada?

Przyleciała czarna Kasia,
Oczkami go łechce,
I po twarzy głaśnie Jasia,
Czemu tańczyć nie chce?

I swawolnie się rozśmieje,
Zaszczebiocze śpiewnie; —
Patrzy chwilkę, posmutnieje
Niby jakoś rzewnie.

A Jankowi serce puka,
Palcami przebiera:
„Oszuka — czy nie oszuka"
„Szczera — czy nie szczera?"

Więc się Kasia baczy trocha,
Janek jeszcze bada:
„Czyli kocha— czy nie kocha"
„Zdrada — czy nie zdrada"?

A tu w koło żwawe pary, —
Tak się wszystko rusza,
Że tam chyba już, kto stary,
Nie skacze mu dusza.

Kasia by do tanku chciwa,
Dłużej nie postoi;
Janek jeszcze kwiat obrywa:
O jutro się boi!

Podszedł Kuba, porwał dziewkę,
Uwija z nią w tanku —
Siedźże grzybie, aż cię zdybie
Baba, miły Janku.

1863 *A. S.*

UMYSŁ ROZTROPNY.

(Obraz z życia).

(Ciąg dalszy).

Drugi dzień pobytu Maryi u państwa Bezewiczów przeszedł przyjemniej. Pani domu miała wesołość niewymuszoną. Pan Bezewicz już nie poił. Kilka osób zostających w domu zabawiało się to rozmową, to grami towarzyskiemi. Pan Seweryn nawet nie był tyle do Maryi śmiałym, co wczoraj. Nareszcie pokładziono się spać wcześnie. Marya nakazała swoim ludziom, aby konie z powozem gotowe były wcześnie z rana. Pomimo próśb natarczywych pana Bezewicza, p. Seweryna i reszty towarzystwa, odjechała zaraz po kawie. Zaledwie wyjechały z dziedzińca, zapytała Marya panny Brygidy: Czego sobie też pani Bezewiczowa tyle trudu zadała taką fetą? Jeżeli to dla mnie, to cel aż nadto chybiony — jestem w żałobie, i więcej mi tem przykrości jak przyjemności zrobiła.—O moja Maryniu droga! Ta ona się temu wzbraniała jak mogła, lecz cóż ona poradzi z mężem? Jemu się chciało bogatą kuzynką pochwalić przed sąsiadami. Chciało się jemu dać bratu sposobność, aby się tobie zalecił. Biedactwo, prawie całą noc piekło ciasta, urządzało potrawy, a jak widziałaś, i tak nie potrafiła wszystkiemu wydołać; nawet chleba zabrakło. Cóż to na wsi! Alboże to znajdzie zaraz tak wszystko pod ręką? A do tego jegomość i skąpy! Oho, wyznaczy tyle a tyle, i bierz zkąd chcesz, byle było! To też często braknie, czego najwięcej potrzeba. A gospodyni, niech się tam wstydzi!—Jakaś i służba taka niesforna... nawet i żeńska. — A właśnie też ta służba żeńska—lecz co ci tam o tem wiedzieć!—Ale moja ciociu i owszem; ja chcę, mnie potrzeba wiedzieć!—Ot jegomość pod pozorem służby— rozumiesz?— A rozumiem. Ale jakże pani Bezewicz tak wesołą być może?—Miną nadrabia. Panna była majętna, zwabił się do niej dorobkowicz — ot z hołyszów, i odurzył pochlebstwami. Uparła się pójść za niego. Teraz jej wstyd pomyłki. Zresztą cóż teraz już poradzi? Skoro raz jego żoną została—bo ksiądz ręce powiązał—to nie ma rady. Nawet z majątkiem pokręcił. Nieraz biedactwo w kącie dobrze się wypłacze. Zagrała mazura, tak i zaraz po obiedzie; dobrze ona uważała, że młodzież głodna, ta choć pląsami chciała to nagrodzić!—Marya wsunęła się w kąt powozu, udała drzemiącą— lecz w rzeczy samej dumała, i myślała nad losem pani Bezewicz, i sposobami wyminięcia podobnego losu dla siebie. Droga prowadziła niedaleko mieszkania państwa Tęskich. On sam był Maryi ciotecznym bratem. Było to jeszcze młode małżeństwo. Pan Kazimierz Tęski był bardzo starannie wychowanym młodzieńcem. Zaledwie ukończywszy nauki, po-

wrócił do domu, upodobał sobie pannę nie bogatą i nie zbyt piękną—a do tego nie koniecznie dla niego stósownie wychowaną. Lecz upodobanie jego było tak stanowczem, że przestrogi krewnych i znajomych zdawały się jemu nieledwie podejściem— a panna Magdalena istotą doskonałą. Wkrótce po jego ożenieniu ludzie sobie różnie o ich pożyciu szeptali, zawsze jego żałując. Bo był to człowiek rzetelnie poczciwy, przyjacielski, pracowity. Znając go także z najlepszej strony, nie chciała domu jego Marya pominąć.

Był w polu, z daleka spostrzegł jadącą krewną— przyłączył się do naszych podróżnych, i wraz z niemi do domu zajechał. Pani Magdalena nie spodziewając się gości, zamaszysto gospodarowała. Trafili właśnie na scenę, gdyż o przewinienie, pod zarządem groźnej pani, bardzo było łatwo. Krzyczała, posługując się nawet pięścią, że i turkotu pojazdu nie zaraz usłyszała. Ubiór odpowiadał zajęciu. Był to szarafan ranny, już dobrze wybrukany, z jakiejś materyi bawełnianej, w szerokie żółte i orzechowe pasy. Czepek ranny, czubaty, ze wstążką czerwoną. Scena surowości gospodarskiej i ubiór zaniedbany, nawet bardzo pospolity, w obec gości zmieszały ją nie pomału. To też i gościom nie bardzo rada była. Więc pan Kazimierz wziął na siebie bawienie krewnych, a pani Magdalena zaledwie w połowie obiadu, pozwoliła się rozweselić żartami męża.

Moja cióciu, mówiła Marya do panny Brygidy, gdy znowu siedziały w powozie — moja cióciu, jaka to szkoda Kazimierza dla tej Magdaleny. Czy on się z nią czuje szczęśliwym, że taki wesoły? — Ej gdzie tam, moja Maryniu! To znowu wesołość taka jak p. Bezewicz. Cóż pocznie choćby i narzekał? Mająteczek nie wielki, nie byłoby się z nią czem podzielić—albo oddać ten mały posag jaki wziął za nią, gdyby ją odesłał do rodziny, na co ona i czem innem zasługuje, nietylko tem, co mogłaś dostrzedz. Zapewnie mu i dziateczek żal, aby się bez matki nie sponiewierały. Nadewszystko musi go być wstyd, że się tak pomylił. Wreszcie już darmo. Jego żoną jest, nikt tego ciężaru z niego nie zdejmie, skoro go sobie sam poszukał.— Okropnie! To okropnie! I tam pomyłka i tu pomyłka— a sakrament trwa w swojej mocy.— Są jakieś prawa, co unieważniają kupna, gdy zaszło oszukaństwo. Czy tylko w razie takiego oszukaństwa na wielką stopę, nie ma sprawiedliwości? Jużci spodziewam się, że taką złą, taką pospolitą, jaką dziś była, nie widział Kazimierz Magdaleny przed ślubem? A uchowaj Boże! słodziutką, skromniutką się wydawała, jakby trusia. Djabeł się ukrył za skórę..

I znowu zadumała się Marya głęboko. — Na noc zajechały do państwa Pacioskich. Byli to dalecy krewni matki Maryi; ludzie już nie młodzi; czyli raczej: nie młodą była pani domu. Pan sam zaś, był bardzo już zgrzybiałym starcem. Przyjęto je gościnnie. Sama pani wzór słodyczy i chrześciańskiej pokory, widocznie o każdą drobnostkę zapytywała męża—który ten kobietę już także nie młodą, traktował wyraźnie, jakoby dziecko.

Gdy się oddaliły do pokoju sobie przeznaczonego, zapytała Marya panny Brygidy o powód tej ciągłej komendy jegomości. Moja Maryniu—powiedziała panna Brygida—niegdyś wydali, przymusili rodzice łagodną, ośmnastoletnią Olesię, aby poszła za pięćdziesiątletniego kawalera. Zazdrosnym był, despotycznym był, żona ta bardzo wiele ucierpiała.

A dalej?— Gdy już miała parę dziewczątek, i do nich się całem sercem przywiązała, złagodniała przynajmniej zazdrość jegomości.— A gdzie te córki?— Starsza już nie żyje. Jegomość kazał jej poślubić męża, którego nie lubiła. Małżeństwo to było bardzo nieszczęśliwe. Skończyło się, młodo umarła. — A młodsza? — Ją ojciec wydał na wielki świat. O będzie miała matka wielki smutek, bo o tej drugiej, różnie ludzie mówią. — A matka, że to nie miała żadnego wpływu na los swoich dzieci?— Ona? uważaj dobrze a dosłuchasz się, że nawet obiad sam jegomość dysponuje.

Była dzieckiem naprzeciw niego, gdy się żenił, dobra i potulna; już nawet nie potrafiłaby była w obec tego starca, mieć jaką swoję wolę. Ta już takim niby dzieckiem została na całe życie — niby biała niewolnica. Zapewne dla majątku rodzice ją wydali? Więc za wygodne niejako życie, jakby ją zaprzedali. Ależ dzieci! dzieci? Czy jej się godziło poddać się tak woli tego starca wraz z dziećmi, i ich losem tu na ziemi a może i zbawieniem w innem życiu? — Nie miała na te pytania odpowiedzi panna Brygida. Lecz Marya dumała znowu dobrą godzinę nim usnęła.

Słodycz, serdeczność pani Pacioskiej, umilały tak dalece pobyt w jej domu, że Marya wraz z panną Brygidą zabawiły tam dni kilka. Może byłyby zostały dłużej jeszcze na serdeczne zaprosiny pani domu — lecz Marya się domyśliła, że jegomość zabierał się ją swatać; więc nie chcąc sobie go narazić, ani też dzielić z jego córkami losu źle udanych doświadczeń— opuściła dom jego co prędzej.

Gdy wyjechały, odezwała się panna Brygida. Jużci wypada nam być i u państwa Ilskich, zwłaszcza, że pani sama pisała, zapraszając cię do siebie. On, cioteczny brat twej matki, i choć bardzo rzadko się ze sobą widywali, to przecie pokrewieństwo trwa zawsze. Dobrze, moja cióciu, możemy i tam na jaki dzień zawadzić. Ale cóż to za ludzie? O nich mało i słyszałam;—on był niegdyś bardzo wesołym, ot, birbant, hulaka. Bo też mu się dobrze działo. Jedynak, matki wesołej, zacnej, majętnej i towarzyskiej —zdawało się, że jemu już niczego nie braknie na ziemi, ani dostatków, ani przyjaciół. Gdy przebawił pierwszą młodość, trochę już przetrwonił i majątku i zdrowia, matczysko nuż prosić, aby się raz ożenił. Ale się nie chciało zepsutemu szczęściem, wziąść jak Bóg przy-

kazał, a przysłowie radzi—żony z bliska. Zaczął wyszukiwać, Bóg wie gdzie. I wyszukał sobie lalę! Wciągnięto go w dom—niby magnacki, co to było imie historyczne, fumy dużo— a majątku mało. Otóż tam było ze trzy panien, dobrze dorosłych i przerosłych, a że panowie lubią szukać nietylko imienia, ale z imieniem bogactwa, a nawet choć bez imienia, ale zawsze bogactwa, więc owe panny hrabianki, nie miały przed sobą żadnych widoków zamęścia.

Tam tedy wciągnięto pana Ignacego. A że panienki bardzo były słodziuchne, więc się nie namyślał długo, ale oświadczył się o pannę Leokadyę. Ha, i przyjęto. Wkrótce była i wyprawa gotowa. Matka jeździła podziękować. Ot nieboga nie wiedziała, za co dziękowała. Ledwie że została jej synową pani Leokadya, nuż matce tonować. Nie chciała ona uszanować matki, ale chciała, aby matka w niej hrabiankę szanowała, która tak wielką ofiarę zrobiła, że za szlachcica pójść raczyła. Tę swoją mniemaną wyższość w każdej chwili dawała uczuć biednej babinie, która też wkrótce po tem upragnionem ożenieniu syna umarła. Nie na tem koniec. Biedak pan Ignacy nudne strasznie prowadzi życie; Jejmość swojemi tonami wystraszyła dawnych przyjaciół, sąsiadów, krewnych, że prawie nikt do domu nie zajrzy.— A dla czego—że ona mnie zaprasza?— Ja sama tego bardzo ciekawą jestem—może ma jakiego gołego hrabicza dla ciebie. Już chciała Marya dać rozkaz woźnicy, zawrócenia w inną stronę, lecz dom państwa Ilskich był już niedaleko, zaś wymijając go, potrzeba było jechać ze trzy mile dalej, do innych krewnych, i byłoby się tam trafiło zapewne podczas obiadu.

(C. d. n.)

Rzecz Artystyczna.

Szkice z Wystawy sztuk pięknych 1863 r. w Krakowie.

(Dokończenie).

Do religijnych obrazów wliczyć także musimy obraz p. Floryana Cynka, przedstawiający św. Kunegundę, królowę polską, a żonę Bolesława Wstydliwego. Wiadomą jest powszechnie legienda o wianie tej królowej, za które ona u ojca swego, Beli, króla węgierskiego, żądała tylko soli. — Pierścień rzucony przez nią w Węgrzech, znaleziono w bryle soli w Bochni, i tym sposobem odkryto bogate kopalnie— tego nieocenionego skarbu naszej ziemi. P. Cynk uchwycił w swym obrazie tę chwilę, w której zgromadzony lud dziwi się cudowi Bożemu, jako z bryły soli dobywa dworzanin królewski pierścień Kunegundy. Pomysł piękny, i sama postać św. Kunegundy bardzo ładna. Obraz cały wykonany dobrze i starannie; zarzucić tylko wypada p. Cynkowi, że za wielką liczbą osób, za zbyt wielkich na rozmiary całości, zepsuł efekt sprawiony główną postacią, i zawikłał piękną myśl swej kompozycyi.

III.

Zostawiliśmy sobie na sam koniec, w wędrówce naszej po Wystawie, sceny z życia w obrazach uchwycone, któreby pewnie najsilniej do serca naszego przemawiały, gdyby wypływały z pod pendzla prawdziwych mistrzów. Mówimy tu o scenach z życia ludowego, z życia, które umiemy sobie tak dobrze poetyzować w fantazyi, które rzeczywiście ma w sobie wiele poezyi —których jednakże nie wiele było na tegorocznej wystawie.— Serdeczność szczera, prosta i niewymuszona, nie będąca tylko zręczną maską teatralnego świata — jakżeż to pięknie maluje się na twarzy takiego chłopka, co albo bohaterskim ogrzewał zapałem swą duszę—albo szczerze głęboką wiarą uchylał czoła przed Bogiem — albo rodzinnem upojony szczęściem— wiejskiej, spokojnej zażywał swobody. W takich scenach mniej więcej widzimy, na obrazach tegorocznej wystawy, przedstawiony nasz lud—ów prosty i bogobojny lud, który nie wyzuł się jeszcze świętej ojców swych wiary, i koło narodowych relikwij, z kornem pochyla się czołem.

Oto grob Kazimierza Wielkiego. Znacie zapewne tę drogocenną pamiątkę historyi i sztuki, której ostatecznemu zepsuciu, mają przecie już niezadługo zapobiedz dobrowolne, więc też nie skore, składki narodu... narodu, który się przed światem szczyci i chełpi tą epoką swych dziejów, w których świetną potęgą jaśniejące berło dzierżył w swem ręku—ten sam Kazimierz Wielki. Przed grób jego na Wawelu prowadzę cię teraz Czytelniczko. Patrz, jakich tam ludzi gromadka wspina się na stopnie pomnika?—Czy senatory to i biskupy, monarchy, śmierci opłakujący?.. Nie—gromadka to chłopków Łobzowskich, śród których Wielki król ochotnie mieszkał i przebywał. Strapione wieśniaczki niosą tam dzieci swoje na ręku, i każą im wieńczyć marmurową głowę najlepszego króla, śród łez, żalu, wielbiąc niezgasłą w sercach narodu jego pamięć. I widzisz wieśniaków serdecznych, rozrzewnionych — widzisz lud polski nad grobem króla swego płaczący—i przekazujący żywem słowem niemowlętom swoim, wielkie czyny nieodżałowanego ojca i pana swojego.— Dusza, patrzącego się w obraz, tę scenę piękną i prawdziwie historyczną, przedstawiający—raduje się zacnością przeszłości... serce uderza silniej — czuje, że tą samą miłością uderza. — Oto jest obraz p. Kozakiewicza, ucznia szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Pomyślany pięknie—i wykonany starannie. Po śmierci Kazimierza Wielkiego chodzili rzeczywiście chłopi nad grób jego, i tam opłakiwali

straty najlepszego króla — i ojca narodu polskiego. Przedmiot więc jest zupełnie historyczny, i że wzięty z życia ludu—bardzo wdzięczny i miły.— Gdyś więc już widział jak chłopek twej ziemi — umie pamiątki narodowych wielkości szanować, przyjrzyj się mu teraz jak wygląda, oddając się ochocie i uciesze, w chwilach wolnych od pracy i nabożeństw. Oto całe towarzystwo wychodzi z karczmy, i właśnie jest na odjezdnem do domu. Widzisz na twarzach ich zadowołenie z doznanego wypoczynku, a niektórych tęsknotę za domem — gosposie spieszą się do swoich chat; może *dymem ogorzałych* albo *szytych dracicami*. Młodzi parobcy, co się do sytu do swych dziewuch pomizgali, — rozpłomienie dziewuchy, którym ciepło i gorąco nawet, choć śniegu szmaty przykryły czarną ziemię. — Wszystko to krząta się i zwija do wsiadania, do powrotu; a główna myśl, która się na wszystkich obliczach maluje, powtarza stare ale dobre przysłowie: że wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu. Taki obrazek, pełen naturalności, życia i prawdy, nadesłał na tegoroczną Wystawę, Henryk Pilati z Warszawy.—Nie odstępując zaś tego ludu, z którym wiem, że ci dobrze moja Czytelniczko, chodź za nim dalej, i zajrzyj w domową zagrodę jego, i przypatrz się oto, jak dobra matka cieszy się i szczyci swojem dziecięciem, pielęgnując je prawdziwie po macierzyńsku. — Widzisz wieśniaczkę, co właśnie z kąpieli dzieciątko swoje wyjęła. Gdy się dobrze obrazowi przypatrzysz, zapomnisz że to obraz, tak cię jego prawda i życie na twarzy dobrej matki-wieśniaczki rozlane, przejmie — i zachwyci. Jakże jej pięknie w tym narodowym stroju, tak prostym a tak gustownym, jakżeż wybitnie z oczów jej żywych, radość jej serca wyczytasz! Prostota, serdeczność i porywająca naturalność uderza cię, gdy się patrzysz w ten obraz, wykonany przez M. A. Piotrowskiego, profesora malarstwa z Królewca. Takich pięknych obrazów wiele już nadesłał do Krakowa p. Piotrowski; tylko to w nich jest najsłabsza strona, że wszystkie charakterami twarze, podobniuteńkie są do siebie. Widać, że p. Piotrowski upodobał sobie pewną rodzinę wieśniaczą, i dostarcza nam różnych scen z jej życia, przedstawianego bardzo ładnie i bardzo naturalnie. — W inną zupełnie stronę tego ludowego życia wprowadzę cię teraz, gdy ci pokażę, szanowna Czytelniczko—scenę, jaka się często po naszych lasach wydarza. — Leśniczy złapał na gorącym uczynku ubogie dzieci, co w lichą szmatę nazbierały chrustu, aby nim zimną izdebkę swoich rodziców — może słabych — ogrzać choć trochę, i może przy ogniu zgotować dla nich jaką warzę.— Surowy przestrzegacz porządku i ścisły wykonawca prawa, sroży się nad ulękłą dziatwą — nie mającą żadnej na swoją stronę obrony. Nędza, ubóstwo, przestrach, poczucie winy i obawa kary — wszystko to maluje się na twarzach mizernych dzieciątek — a gdy do tego dodamy okolicę pełną uroku i piękną—przedstawi ci się obraz, na którym z obudzoną w sercu twem boleścią patrzeć będziesz, — i poznasz tę stronę życia wieśniaków, w której smutna rzeczywistość ich doli, uniewinni przed tobą to małe przestępstwo, dokonane przez zmarzłą dziatwę ubogich rodziców, dla ogrzania nędznej izdebki w ich chacie. Spojrzyj teraz na dziewczę, z tego samego świata—ze świata ubóstwa i niedoli, jak ono, mimo opłakania godnego stanu, nie wyrzeka się ułudnych marzeń rozkoszy, w zarosiu pierwszych dni wiosny swego życia.

Nad ruczajem stanęła dziewica
I pierwiosnki rzuciła do wody —
Trwogą, smętkiem zachmurzyła lica,
Bo z tych kwiatów wróży swe przygody.—
Kwiat wiośniany rącza fala niesie,
Niesie z sobą na wiry — otchłanie —
A jej serce... w młodem łonie rwie się —
W pierwsze z losem uczuć szamotanie.

Urok młodości umie i najbiedniejszemu ustroić świat marzenia w ułudne szaty nadziei — Los igra z ludźmi, niedbając, jak nie raz zwodniczą nadzieją rozrani serce oddające się zbytniej i dalekiej od rzeczywistości ułudzie. Patrząc w ten obraz, czujesz wrażenie, jakiego biedne młode dziewczę doznało, ale litujesz się nad jej smutną rzeczywistością. Artysta tworzący ten obraz, nie umiał jeszcze rozpogodzić oblicza tego marzania. Obok rzewnej smętności serca, widać tu za zbyt wyraźnie — przepaść, oddzielającą roskosz nadziei, od doświadczanej nędzy... Inne prace tego artysty (Szermentowskiego Józefa), mianowicie zaś te, w których więcej trzyma się natury— krajobrazów—są piękniejsze.—Przeglądając obrazki samych ludowych myśli i uczuć— nie możesz także pominąć pięknch okolic naszej ojczystej ziemi — z którą zrósł prawie lud nasz, skrapiający ją potem swego znojnego czoła. A masz tu śliczny kościołek św. Anny, pod Nowym Targiem, z całym uroczym światem tatrzańskim— (Wojciecha Gersona); masz krajobraz z okolic Tomaszowa (Ruśkiewicza Franciszka); masz widoki cudnego świata z nad Wisły (Szuberta Awita)— i w nich n'eraz ukoić można zbolałą duszę swoję, odgadując i czując w piękności, po każdym listku rozlanej, wzniosłość i wszechmocność Stwórcy.—Wszystko to należy do owych tworów, co ci duszę i serce rozkołysze wznioślejszem uczuciem—co cię rozrzewni i łzę nawet wyciśnie z oka — bo w tem wszystkiem drga najpiękniejsza strona życia, bo strona prostoty, serdeczność i niekłamanego piękna. Natura tylko nigdy nie kłamie pięknością, jest więc dla tego niewyczerpaną skarbnicą uroku dla wszystkich, którzy ją czują, którzy wśród niej nie skarżą się na samotność i nudy.

IV.

Otóż więc kończymy nasze kopiowanie słowami, i to kopiowanie pobieżne (gdyż na obszerniejsze nie mieliśmy tu miejsca) myśli przedstawionych pendzlem. Na zakończenie wspomnieć tu musimy jeszcze i o takich obrazach— aby Czytelniczek, które nie były na wystawie, nie skrzywdzić— które są więcej wyrazem zdolności i pracy, aniżeli tworami natchnienia.. artystów. Do takich należą portrety i niektóre rodzajowe szkice—jako też kopie i studya. Najlepszych portretów dostarczył na tegoroczną wystawę p. Jędrzej Grabowski, Krakowianin, artysta z pięknym talentem. Jego portrety odznaczają się wyrazistością i siłą kolorytu, i że tak powiem *ogniem*, rozpalającym w nich życie. Tegoż artysty pendzla były dwie kopie (portret młodej dziewczyny z Tycyana i Francesco Erizzo, doza wenecki z Tintoreta), z których portret doży szczególniej, nie ubliżał oryginałowi. Zosia z Mickiewiczowskiego Tadeusza — owa Zosia śliczna i ukochana nietylko przez Tadeusza, ale przez was i przez nas — którzy z rozrzewnieniem czytaliśmy o niej— przedstawiona jest w rannem ubraniu, gdy wybiegła swoje ulubione ptastwo odwiedzić i pożywić. Piękna jest—artysta, który ją malował (Straszyński Ludwik) czuje piękność i umie ją pendzlem cieniować -- ale nie przypomina Zosi Mickiewicza. Kwiaty, które się pod jej nożkami kołyszą, to jakieś włoskie, wyszukane— nie nasze.—Dwór wcale nie litewski—niebo nawet goretsze, brzydsze od naszego... Suchodolskiego Januarego obraz obyczajowy, przedstawiający komnatę z końca XVIIIgo wieku—nie zachwyca wykonaniem do tyla, aby osoby, umieszczone na nim, obudzały we widzu interes lub zajęcie. Są to lalki za zbyt sztywne— nieruchawe, P. Łuszczkiewicza Anna Jagiellonka dobra jest, ale dla badaczy starożytności— a p. Pilatego, trębacz z czasów Jana Kazimierza, i p. Sypniewskiego wyprawa na polowanie, mogą być tylko cenione z rysunku, jako też ze znajomości dawniejszych obyczajów w Polsce. Stróż, zalecający się do dziewczyny przy kobiecie, sprzedającej chleb i bułki, scena na starem mieście w Warszawie (Pilatego Henryka) wcale dobry, i dowodzi wielkiej zręczności chwytania natury w scenach z życia codziennego. — Grajek (Tytusa Maleszewskiego) ma trochę niezgrabną rękę i nie przypomina naszych żwawych, serdecznych wirtuozów wiejskich. Fornalce krakowskiej (Suchodolskiej) nie rysunek, bo ten jest wyborny, ale koloryt maści, zarzuciłbym się ośmielił.—Chłopiec śpiący (Sagnowskiego), trochę za smutny i za blady, jest uchwycony dość wiernie z natury—Słowacki Juliusz w podróży po wschodzie (Dylczyńskiego) nie jest najprzód podobny, a potem, zupełnie nie jako poeta pojęty. Książętom Sobieskim (tegoż artysty) brakuje wiele do skończoności. Budkowskiego dwa obrazki: jeden przedstawiający obóz, a drugi modlące się Polki — niewykończone także, niepodobne są ani myślą, ani uczuciem do przeszłorocznych, ślicznych, osieroconych— jego. Młodnickiego zaś Karola piękne dwie kompozycye, a szczególniej olejna, choć nieprzystępna dla wszystkich, zdradza piękny talent i bogatą fantazyę. Piękny, olejny obraz p. Młodnickiego, przedstawiający grotę, oświeconą kagańcem, i ukazujący w niej okropną scenę: bo zbolałego i znękanego ojca, któremu pięciu synów los wydarł.... namalowany, za zbyt może przerażająco, jest silny—i zapowiada młodemu jeszcze artyście piękną przyszłość.

Skończywszy sumaryczny nasz przegląd obrazów, do których policzyliśmy wszystkie, co tylko jaką miały wartość — musimy tu jeszcze wyliczyć przynajmniej prace niewieścich rączek... choć one jakoś nie wsławiły się tego roku w pendzlu. Pani Rouvroy Marya z Drezna nadesłała dwa obrazki: Chłopaka z czarnego lasu, i „To nie jest prosty przypadek"; Rodak Arnaldyna: oleandry i owoce; Ronner Henryka, odznaczająca się talentem: Naturę martwą, osiołka z wózkiem i psa z gołębiami. — Pani Wanda z Cieleckich Cielecka nadesłała: Świętą Cecylię, robioną pastylami.

J. K. Turski.

Rozmaitości.

Nowego rodzaju lokomotywą robiono próbę w ostatnich dniach maja w Berlinie. — Jest to wóz parowy do użycia po zwykłych gościńcach zdatny. Chociaż ruch wielki panował na ulicy obranej do próby, to przecież wóz ciągniony przez lokomotywę wyż wspomnioną posuwał się zupełnie dobrze, wymijał inne wozy zręcznie i nie szedł prędzej od innych zaprzęgów.—Odpowiadałaby taż lokomotywa celowi swemu, gdyby nie wysoka jej cena (kosztuje 2300 talarów) a mała w porównaniu siła— 4 do 5 koni.

Nie zawadzi na tem miejscu umieścić fakt, który się zdarzył na kolei między Temeszwarem a Szegedinem w Węgrzech.

Pociąg kolei zatrzymano raptem. Zatrwożeni podróżujący myśleli już o jakiem nieszczęściu, gdy tymczasem tylko zapobieżono takowemu.

Chłopczyna jakiś usnął na drodze i spał sobie spokojnie, jakby na miękkiej pościeli. Maszynista, zoczywszy go dosyć wcześnie, zdołał jeszcze zatrzymać pociąg, i usunąć od dziecka wiszące nad niem niebezpieczeństwo.

Oczywista opieka Boska!

☞ Zapraszając do wczesnego nadsyłania przedpłaty od 1go lipca i prosząc o spieszne uiszczenie zaległości, dołączamy listy zwrotne.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny.— Nakład Redakcyi.—Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza w Krakowie.